

Przepis na życie

Matma, matma, matma, matma. Boże, litości. Dodaję te cyferki, odejmuję, tu coś skracam, znowu dodaję, może teraz podzielę. Już sama się gubię, zapomniałam co liczę, byle by wyszło coś sensownego, byle tak, jak w odpowiedziach z tyłu książki.

Chwila przerwy. Łyk gorącej herbaty. Kładę głowę na książce, zamykam oczy i myślę, kiedy znajdę w końcu chwilę, żeby przejść się te trzy kilometry i usiąść w podwójnie ciepłej kuchni. Nie wiem, czy bardziej na to ciepło wpływa ogrzewanie, czy jej pełne miłości i dobroci serce. Zmęczona drogą, czasem nieźle zmarznięta, opadam na krzesło, a Ona nie zważając na to, że może miała coś innego do zrobienia, podkłada drewno do pieca i pyta „no to pieczemy placki?”. Uśmiecham się nieśmiało, odpowiadam, że nie trzeba, żeby sobie usiadła, odpoczęła. Ale ona nawet nie myśli mnie posłuchać! Wie, jak je uwielbiam, przynosi mąkę, cukier, jajka, a w między czasie stawia wodę i każe mi zrobić gorącą czekoladę. Nawet nie próbuję się sprzeciwić, siadam z czekoladą, a ona obok mnie przyrządza ciasto.

Minuty mijają sto razy szybciej niż w szkole, chociaż zdarza się, że opowiada mi setny raz tę samą historię. Patrzę się w te jej niebieskie oczy i nie mogę się nadziwić. Wystarczyło jej siedem lat podstawówki, by być najmądrzejszą osobą na świecie. Nie używa żadnych naukowych pojęć, często rzuci jakieś słówko z gwary, przez co wypowiedź jest taka charakterystyczna, taka jej! Każdy składnik do swego ciasta dodaje na oko, przez tyle lat nigdy nie zapisała przepisu, przez to placki są raz bardziej słone, raz słodkie, ale niewątpliwie zawsze najlepsze na świecie. Ona oczywiście narzeka: „a może dałam za mało sody”, „a nie wiem czy wystarczy tyle cukru”. Ja z tego się już tylko śmieję i czekam, jaki będzie smak tym razem.

Ciasto dzieli na małe kwadraciki, staje przy nagrzanej blasze i układa je w sobie tylko znany sposób. Dobrze wie, w którym momencie który placek przekręcić, by nie był ani zbyt przypieczony, ani surowy. A ja siedzę, patrzę na nią i odpoczywam od tego pośpiechu, od autobusu, dębickich spalin, narzekam, że dużo nauki, że muszę wcześniej wstawać. A ona? Chociaż przeżywała młodość w dużo gorszych czasach niż ja, to czuję, że mnie rozumie. Mówi, że nauka to nie wszystko. Śmieje się: „jak wszyscy będą tacy uczeni, to kto będzie w polu pracował?”. Później opowiada, jak ona chciała się uczyć, ale nie miała warunków. Nie sprzeciwiła się wtedy, nie zbuntowała. Nie miała takiego wpływu na swoją przyszłość, jak ja teraz.

Później zaczyna się śmiać i przypomina swoje młodzieńcze wygłupy. Wspomina, jak w tajemnicy przed mamą łatała dziurę w nowym płaszczu, bo podczas jazdy motorem rozdarła go. Czy też jak prowadziła wóz z koniem i uparła się, że nie będzie jechać dłuższą drogą, tylko da radę przeprowadzić konia przez rzekę. Prawie się utopili. Jednak z perspektywy czasu śmieje się z tego i jest dumna, że z trudem, ale sobie wtedy poradziła.

Opowiada jak podczas wojny niemieccy żołnierze założyli jej bandaż na głowę, gdy ją rozcięła, czy jak częstowali ją cukierkami. Jej kochane serce nie widzi zła, które ci ludzie wyrządzili. Zawsze, gdy mówi o nich to podkreśla, że też zostawili wtedy w ojczyźnie swoje rodziny i większość z nich nie poszła walczyć z własnej woli.

Powoli niektóre placki uważa za gotowe. Ściąga je znowu w jakimś nietypowym stylu, a mi pozostaje się tylko zastanawiać skąd ona wie, że ten jest gotowy, a ten leżący obok niego i wyglądający identycznie jeszcze musi się dopiec. Podaje mi jednego, jest tak gorący, że tylko parzę sobie nim podniebienie, ale pachnie tak pięknie! Nie czekając więc aż ostygnie zjadam całego, a babcia już zaczyna narzekać: "I jak? pewnie mało słodki? Nie wiem, wydawało mi się, że tyle cukru wystarczy..". Przewracam tylko oczami, bo smakuje wyśmienicie i mówię - idealny, jak zawsze. Jak wszystkie są gotowe siada po drugiej stronie stołu, wyciąga krzyżówki i pijąc herbatę rozwiązuje. Mam wrażenie, że niektóre hasła zna na pamięć. Halo! ja tutaj chodzę do liceum, uczę się dużo, więc czemu zanim ja zdążę się zastanowić nad jednym pytaniem ona pół krzyżówki już uzupełni?!

Rozmawiamy dalej, opowiada o książkach jakie czytała, o tym kto ją ostatnio odwiedził, kto do niej dzwonił. Czasem przypomni sobie o jakiejś znajomej osobie, która już odeszła, opowiada o niej, robi się smutna, zaszkłą jej się oczy. A ja, chociaż jestem taka twarda, widząc, że z jej twarzy zszedł ten piękny uśmiech, czuję gulę w gardle. W jej głosie jest wtedy coś tak przykrego, że z trudem powstrzymuję płacz, lub nawet po kryjomu ocieram kilka łez. Może to dlatego, że mówi to tak szczerze, nie na pokaz, nic nie wyolbrzymia, prosto z serca przekazuje swoje uczucia. I tak mijają godziny.

Na krześle obok siedzi mężczyzna jej życia, z którym jest na dobre i złe. Śmieją się czasem, że urodzili się tego samego dnia, więc może tego samego dnia odejdą. Do końca razem. Są dla siebie wsparciem i myślę, że wzorem dla tych wszystkich nowoczesnych ludzi, którzy w jeden dzień obiecują sobie miłość po grób, a za rok uznają to za pomyłkę.

Tak więc siedzę sobie w tej cudownej, pełnej miłości kuchni i spoglądam na zegar. Trzy godziny minęły w trzy minuty! Przecież to niemożliwe! I znowu wracam trzy kilometry do domu, napełniona spokojem i nadzieją. Za każdym razem jak tam jestem uczę się dobra. I nie wyobrażam sobie żeby kiedyś to się skończyło. Nie ma innego miejsca na świecie, które uspokaja mnie tak, jak ta kuchnia. Kuchnia i serce mojej babci.

Trzeba wrócić do tego zadania. Może jednak jak pomnożę te cyferki to otrzymam dobry wynik? Bo jak wygląda przepis na dobre życie już wiem.